**Bieg przez czas z Januszem Kusocińskim**

Autor : Alan Sapigórski

Był zwykły poniedziałek. Szkoła, lekcje, zadania domowe – nic nadzwyczajnego. A jednak tego dnia wydarzyło się coś, co zmieniło moje życie. Po lekcjach poszedłem do szkolnej biblioteki ,w której nikogo nie było. Natrafiłem na starą książkę o Januszu Kusocińskim. Zaintrygowany, usiadłem w rogu sali i zacząłem czytać. Każda strona wciągała mnie coraz bardziej – opowieści o jego treningach, sile charakteru, a przede wszystkim o jego odwadze.  
  
Gdy przewróciłem ostatnią stronę, nagle usłyszałem dziwny szum. Rozejrzałem się – biblioteka wyglądała tak samo, ale coś było nie tak. Przede mną, zamiast regałów, stał… stadion? Zanim zdążyłem zareagować, znalazłem się na trybunach. Był upał, tłum wiwatował, a na bieżni pojawił się Janusz Kusociński – we własnej osobie!Podszedł do mnie, jakby wiedział, kim jestem.

 – Chodź, pokażę ci, co to znaczy naprawdę biegać – powiedział z uśmiechem.  
  
Zanim zdążyłem zapytać, co się dzieje, trenowaliśmy razem. Pokazał mi, jak oddychać, jak ustawiać stopy, jak się nie poddawać. Ale najważniejsze, czego mnie nauczył, to że prawdziwy biegacz walczy nie tylko z rywalami, ale też z własnymi słabościami.  
  
Kiedy wróciłem do domu, przez kilka dni nie mogłem przestać myśleć o tym, co się wydarzyło. Trudno było uwierzyć, że naprawdę spotkałem Janusza Kusocińskiego. Otworzyłem komputer i zacząłem czytać wszystko, co mogłem znaleźć o jego życiu – o tym, jak zdobył złoty medal olimpijski, jak był bohaterem wojennym, i w końcu, jak został zamordowany przez okupanta w 1940 roku.  
  
Następnego dnia po szkole znów poszedłem w to samo miejsce. Ku mojemu zdumieniu w bibliotece nikogo nie było tak jak ostatnio. Zawahałem się, ale coś mówiło mi, że powinienem wejść. Drzwi zamknęły się za mną automatycznie, światło zawirowało... i znów byłem w przeszłości.  
  
Tym razem znalazłem się nie na stadionie, lecz na zatłoczonej ulicy Warszawy, w latach trzydziestych. Miasto tętniło życiem – tramwaje dzwoniły, dzieci grały w klasy na chodniku, a ludzie czytali gazety z wieścią o sukcesie Kusocińskiego w Los Angeles. Przed kawiarnią stał właśnie on – Janusz, z filiżanką kawy i gazetą. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.  
  
– Wiedziałem, że wrócisz – powiedział. – Chodź, dziś pokażę ci, jak wygląda życie sportowca poza stadionem.  
  
Zabrał mnie do swojej szkoły, gdzie trenował młodzież. Zobaczyłem, jak z pasją tłumaczył dzieciom techniki biegu, jak motywował tych, którzy w siebie nie wierzyli. Jedna dziewczynka, Zosia, miała problem z oddechem. Janusz klęknął przy niej i powiedział: „Nie musisz być najlepsza. Wystarczy, że będziesz lepsza niż wczoraj”.  
  
Później zabrał mnie do parku Skaryszewskiego, gdzie ćwiczył codziennie o świcie. – Zwycięstwo zaczyna się tu – powiedział, wskazując na serce. – A nie tu – dodał, pokazując mięśnie. – Biegacz, który nie ma serca, nigdy nie wygra naprawdę.  
  
Wieczorem trafiliśmy do jego domu. Na ścianie wisiały medale i zdjęcia z zawodów, ale też listy od fanów, dzieci, rodziców, nauczycieli.

– To są moje prawdziwe nagrody – powiedział. – Ludzie, którym mogłem pomóc.  
  
Wtem usłyszeliśmy huk. Nad Warszawą rozbrzmiały syreny. Rok 1939. Początek wojny. Janusz spojrzał na mnie poważnie.  
  
– Teraz czeka mnie inna walka. Zobaczysz, co znaczy prawdziwe poświęcenie.  
  
Zostawił sport, przyłączył się do Armii Krajowej. A ja, jako niewidzialny świadek jego losów, mogłem obserwować jego odwagę, gdy ratował rannych, przemycał informacje, podtrzymywał ducha walki. Nawet w najciemniejszych chwilach nie stracił nadziei. Gdy został aresztowany, nie zdradził nikogo.  
  
Zniknął. Wróciłem do swojej rzeczywistości. Ale Janusz Kusociński pozostał ze mną – w mojej pamięci, w moim sercu, w każdym porannym biegu, gdy pokonuję swoje słabości. Jego historia nie skończyła się śmiercią. Ona trwa – we mnie i w każdym, kto zdecyduje się biec dalej, mimo bólu, mimo strachu.  
  
Bo jak powiedział: „Nie ważne, jak szybko biegniesz. Ważne, że nigdy się nie zatrzymujesz.” 